

ALBERT-JEAN.

Sternik z Rouen.

Podróżny otworzył drzwi na rościę i wichura wpadła za nim do knajpy.

Musnięte płomieniem szkło maftowej lampy pękło z trzaskiem. Ze wszystkich stron izby posypały się kłatwy, podczas kiedy gospodarz, pochylony nad cynkiem kontuaru, obejmował ramionami butelki.

— Drzwi! Dla Boga! Drzwi! — Wołał na całe gardło.

Wicher je zatrzasnął tak gwałtownie, że klucz, wyskoczywszy z zamku, zadzwonił na posadźce.

— Dajcie mi araku! — rozkazał podróżny, ochryplym głosem, gdy zapalono ponownie lampę.

Był to mężczyzna ogorzwały na twarzy, spalony niemal i nieokreślonego wieku. Powieki jego mrugały pod szczytną jasnych brwi. Krótkie bezbarwne wasy wznosiły się nad mięsistą, zmysłową wargą.

Miał na sobie marynarską bluzę i ciągnął arak jak czystą wodę.

Wypróżniwszy swą karafkę zapytał:

— Czy można tu przenocować?

Gospodarz nieufnie zmierzył oczyma podejrzane indywiduum.

— Hotel przepełniony! — mruknął.

— Nie zmusicie mnie chyba do odejścia stąd na tę psią pogodę? — odparł nieznajomy, zapinając bluzę.

— Co chcecie? Nic nie poradzę. Trzeba było uprzedzić!... Zatrzymałoby się pokój dla was... O tej porze wszystkie kąty zajęte.

Podróżny wstał z ławki i wyprostowany zbliżył się do kontuaru krokiem pewnym mimo karafki araku.

— A tutaj? — zapytał.

— Co? Tutaj?

— Nie moglibyście ułokować mnie na sienniku przy kontuarze? Urządziłbym się jako tako.

Gospodarz podrapał się w głowę:

— Będzie wam bardzo niewygodnie! Wieje ode drzwi...

— Bah! Bywało gorzej — odparł podróżny z bez troską miną. Najważniejsza rzecz być pod dachem!

— Jak chcecie, w takim razie! zgodził się gospodarz, otwierając litrową butelkę wódki.

* * *

Nieznajomy spokojny o nocleg, z zadowoleniem przyglądał się teraz obecnym. Wyjął fajkę z kieszeni i nakładał ją grubym słodkawym w zapachu tytoniu, który mu przylegał do palca podczas wypychania do główki z pianki morskiej. Atmosfera była sympatyczna. Stołki wyplatane stały wokół drewnianych stołów, a ruchoma składana ławka z lakierowanego drzewa, lamowana niklem znajdowała się przy ścianie.

Nieznajomy nacisnął jedną z zawias i siedzenie ławki posłusznie, podniosło się z hałasem.

— Widzicie ją? — wykrzyknął podróżny, zwracając się do gospodarza karczmy. — Ta ławka musiała was drogo kosztować!

— Mnie? Nic a nic!... Tyle co ją podniosłem i kazalem odlakierować...

Widząc, że rozmówca jego patrzy nań ze zdziwieniem dodał:

— Są to szczątki, które wyłowilem sam dwanaście lat temu u przylądka Penhrec.

— Szczątki czego?

— Allury'ego!... Tego parowca angielskiego, który, zdradzony przez swego sternika, zawiął do brzegów Pierres-Vertes!... Z całej załogi i dwustu pasażerów uratowano załędwie dwunastu ludzi, ramnych przeważnie... nie pamiętacie?

— W tym czasie, o którym mi prawiacie, żeglowałem, handlując na wybrzeżach Mozambiku... Nie interesowałem się tem, co się w Europie dzieje... wierzajcie mi!... Miałem inne tarapaty...

— Tutaj, rozbicie Albury'ego narobiło hałasu na całym kontynencie. Towarzystwo asekuracyjne dowiodło znowy sternika z właścicielami parowca... Był to stary grat, zaasekurowany grubo po nad jego wartość rzeczywistą... Właścicielom zależało bardzo na tem, aby poszedł na dno... Na nieszczęście dla nich afera nie udała się do końca... Musieli zwrócić oibrzymie sumy towarzystwu i jeden z nich poszedł do więzienia.

— A sternik?

— Nie sposób było przyłapać go... Nazywał się Jean Maguard z Rouen... Pewnie się osiedlił gdzieś zagranicą i spokojnie spożył swoją porcję łupu... Ostatni pijak wstał i znikł na stromych schodkach, które łączyły karczmę z piętnem górnem, gdzie rzędem stały pokoje gościnne.

Gospodarz wówczas zawołał do jednej z dziewczek służebnych:

— Cathe, nie zapomnij zaryglować drzwi!... A potem połóżysz siennik dla pa-

na w tym kącie, zdała od okna.

— Dobra! — odparła dziewczka, podczas kiedy nieznajomy spokojnie mapychał fajkę nową porcją tytoniu.

Świt pogodnego poranku zajął naza jutrz do knajpy, przepojonej zapachem anżu i dymu tytoniowego. Zaspana służąca weszła do izby ze szczotką i śmietniczką w rękę. Skierowawszy kroki lku oknu, by je czempredzej narościęz otworzyć i wpuścić do lokalu orzeźwiająjące powietrze, z okrzykiem przerażenia cofnęła się ku drzwiom.

Ruch się zrobił w karczmie. Z alkowy wyskoczyła żona gospodarza, wślad za nią wbiegł i sam gospodarz. Goście gromadnie zjawili się na schodach. Z kuchni wyrzała druga dziewczka służebna, jakiś wczesny przechodzień mijając karczmę, zaciekawiony stanął w progu. Oczom obecnych przedstawił się widok pełen grozy: nieznajomy podróżny klęczał w rogu izby o trzy metry od swego siennika, zimny i sztywny już, bo śmierć musiała nastąpić według wszelkich danych około północy. Gardziel jego była w okropny sposób zacięnięta między brzegiem ławki i ścianą. Siedzenie, podnosząc się raptownie, złamało mu najwidoczniej kręgi karku, bo głowa zwiśła, jak u złapanego w potrzask lisa.

Wypadek, nieprawdaż? Wszak śmierć nieraz podobne niespodzianki robi...

Ale słuchajcie!

Skoro żandarmi przybyli, wydobyto ciało z zasadzki i wyjęto zniszczony pugilares z moltonowej kamizelki. Stary, bardzo stary dowód osobisty leżał w nim na samym spodzie. Starszy żandarm, rozłożywszy poźółtkły papier, przeczytał głośno:

„Jean Moguard z Rouen... sternik przy Towarzystwie Asekuracyjnym N.“

Tłum. Jotsaw.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO.“

Rok IV.

Łódź, 24 kwietnia 1927 roku.

Nr. 17.

Po tragicznym zgonie prezydenta m. Łodzi.



W dniu 18 b. m. stutysięczne tłumy z przedstawicielami wszystkich władz, instytucji społecznych i korporacji zawodowych na czele odprowadziły na miejsce wiecznego spoczynku zwłoki s. p. Mariana Cynarskiego, prezydenta m. Łodzi, składając tem samem hołd nieodżałowanemu szermierzowi idei samorządowej, który pod ciosem skrytobójczego mordery, padł na swym posterunku.

Zdjęcie nasze przedstawia kondukt pogrzebowy prowadzony przez J. E. ks. biskupa Tymienieckiego ul. Piotrkowską.

Teatralja.

Premjery warszawskie. Nowa sztuka H. Bernsteina. — Niezwykłe „uczucie” rocznicy. Oryginalna propozycja i — znakomita na nią odpowiedź.

Ciekawą premierę wystawił przed samymi Świątami Teatr Narodowy, rozsuwając kurtynę „komedji romantycznej” — St. Miłaszewskiego, p. t.: „Farys”. Bohaterem „komedji”, w stylu rostandowskiego melodramatu napisanej, jest — jak się to domyśleć nietrudno — „emir” Rzewuski, syn targowicianina Seweryna — Waclaw. Komedia p. Miłaszewskiego pisana jest pięknym, dźwięcznym, poetycznym wierszem, który też stanowi bodaj główną jej wartość i zaletę. Budowa bowiem „Farysa” jest niejednolita: pierwsza część jest to epizod romantycznych przygód Farysa w nieobjętych piaskach pustni syryjskiej; część druga, groteskowo traktowana, stawia bohatera w środowisku salonów europejskich — wśród których Farys pozostaje dumnym, górnym i samnym, aż do chwili, gdy wierny zawsze swej arabskiej kochance — Leili, decyduje się rzucić w wir walki powstańczej, miast w puchowe łoże wielkoświatowych uciech. Całość związana jest osobą Waclawa Rzewuskiego, niestety jednak, w postaci tej więcej daleko jest pseudo-romantycznych szablonów i teatralnego bajronizmu, aniżeli psychologicznej głębi i prawdy.

Jak już powiedzieliśmy, piękny wiersz p. Miłaszewskiego i barwne tło farysowych wędrowek okupują w dużej części braki „romantycznej komedji”, czyniąc z niej widowisko naogół zajmujące, choć domagające się, w końcowych zwłaszcza partjach, pewnych zmian i skrótów na korzyść jednolitości i harmonji komedjowej koncepcji.

Sztukę przyjęto bardzo gorąco, a sukces ten dzielił autor z doskonałymi wykonawcami ról głównych w osobach pp. Węgrzyna (Farys), Broniszówny, Pichor-Sliwickiej i Brydzifskiego — przedewszystkiem. Niejeden też komplement należy się

p. Drabikowi za bardzo pomysłowe i barwne ramy dekoracyjne, stanowiące dla obrazów „Farysa” niezbędne tło i uzupełnienie. Krytyka warszawska potraktowała komedję p. Miłaszewskiego życzliwie i bez uprzedzeń, nie zapoznając — mimo wytknięcia braków — walorów słownych sztuki. W tegorocznym repertuarze teatrów warszawskich przybyła jedna sztuka oryginalna, pióra polskiego autora, z czego oczywiście zadowolonym być należy.

Miłą komedijkę wystawił Teatr Letni — pióra znanego R. Coolusa, p. t. „Panna Marcelina”. Jest to twór jeszcze przedwojennego francuskiego wyrobu, pełen wdzięku, sentymentu, wytworności i dobrego smaku. Przytem intryga spleciona jest dowcipnie a interesująco, bohaterka zaś komedji stanowi postać wcale nieszablonową. Młodziutka Marcelina, pensjonarka wprawdzie, ale — jako córka dyrektora teatru, uczona od dzie-

ciństwa w dobrej szkole kulis — postanowiła ratować szczęście i spokój domowy zamężnej swojej przyjaciółki, biorąc na się w stosunku do czyhającego na ten spokój u-wodziciela, rolę — piorunochronu. W tej niebezpiecznej, bądź co bądź, dla młodej dziewczyny grze — zwycięstwo pozostaje jednak po jej stronie. A temu zwycięstwu towarzyszy też nagroda serca — bynajmniej zresztą nie w postaci uczucia ze strony pustego lowelasa, przed którym Marcelina z takim poświęceniem broniła cnoty swej przyjaciółki. Nie, Marcelina w perypetjach walki zdobywa sobie serce pewnego pana o siwiejących już na skroniach włosach, w którym — wzorem wielu francuskich komedjowych panienek — kocha się od lat paru. Ten starszy pan, który pożerał tuzinami, niczem ostrzygi — płonące serca niewieście, kapitułuje, z niemą zresztą satysfakcją, przed skromną i uroczą, nie-



Uroczystość poświęcenia nowej chorągwi w kościele św. Józefa w Łodzi.



Drużyna „Warta”—Poznań — na zawodach piłkarskich w Łodzi.



Łódzkie drużyny koszykówki przy Polskiej Y.M.C.A., które w dniu 2 b. m. rozegrały zawody z wynikiem 22 do 22.

śmiałą i zuchwałą Marcelina, a polujący na cudzych terenach donżuan zostaje podwójnie na koszu, zdaleka tylko przypatrując się zbyt wysoko wiszącym winogronom.

„Panna Marcelina” od razu zdobyła sobie sympatię publiczności. Gra ją śliczna p. Majdrowiczówna, której spojrzenie ugłaskać zdolne jest nawet Iwa Iberberyjskiego, a cóż dopiero mówić o — salonowym. Doskonałych partnerów ma p. Marcelina — Majdrowiczówna w pp. Różyckim, Leszczyńskim, Larys-Pawińskiej, Zelwerowiczu i innych, dzielnie swe zadania spełniających.

W paryskim „Gymnase” ujrzała niedawno światło kinkietów najnowsza sztuka p. Henryka Bernsteina, p. t. „Le vénin” (Jad). Bohaterem sztuki jest powieściopisarz Pécaud o wielkim temperamencie erotycznym, a charakterze gwałtownym i despotycznym. Osia zaś jest powstający przed Pécaud'em problem wyboru pomiędzy żoną a kochanką. Po szeregu perypetyj, przeprowadzonych ze zwykłą Bernsteinowi teatralną zrećnością — zwycięża żona.

Sztukę autora „Złodzieja” oceniono mader przychylnie. W roli kochanki znalazła sobie świetne pole do popisu znana aktorka Yvonne de Braye.

Głośny inscenizator rosyjski, Meyerhold, w sposób wysoce ekstrawagantry uczcił przypadłą niedawno 10 rocznicę obalenia caratu. Oto zebrał 300 aktorów, przebrał ich w aresztańskie stroje dawnych więźniów politycznych, nałożył kajdany, i na czele tego pochodu przedelfilował ulicami Moskwy, pod bolszewicką eskortą wojskową. Pomysł coprawda oryginalny, ale może byłoby lepiej, aby zamiast przebranych aktorów, defilowali na wolności prawdziwi więźniowie rządów sowieckich, trzymanych do dziś dnia setkami i tysiącami w lochach i kazamatach różnego rzędu „czczyczyk”...

Tenże Meyerhold wystawia wkrótce w Moskwie nową operę Prokofjewa p. t. „Gracz”, której libretto wykrojone zostało ze znanej powieści Dostojewskiego.

Jakieś zwarjowane „Towarzystwo Opieki nad Genjuszami”, które istnieje oczywiście w Ameryce, postanowiwszy opiekować się genjuszami nawet po ich śmierci, zakupiło na ich „użytek” wielką parcelę na jednym z cmentarzów nowojorskich, gdzie ma powstać szereg wspaniałych mauzoleów. Towarzystwo to rozesłało m. in. i do Bernarda Shaw'a ankietę z zapytaniem, czy życzy sobie być pogrzebany na tym „cmentarzu wielkości”, a oto, co ze zwykłym sobie dobrodusznym humorem odpowiedział na tę oryginalną propozycję sędziwy pisarz angielski:

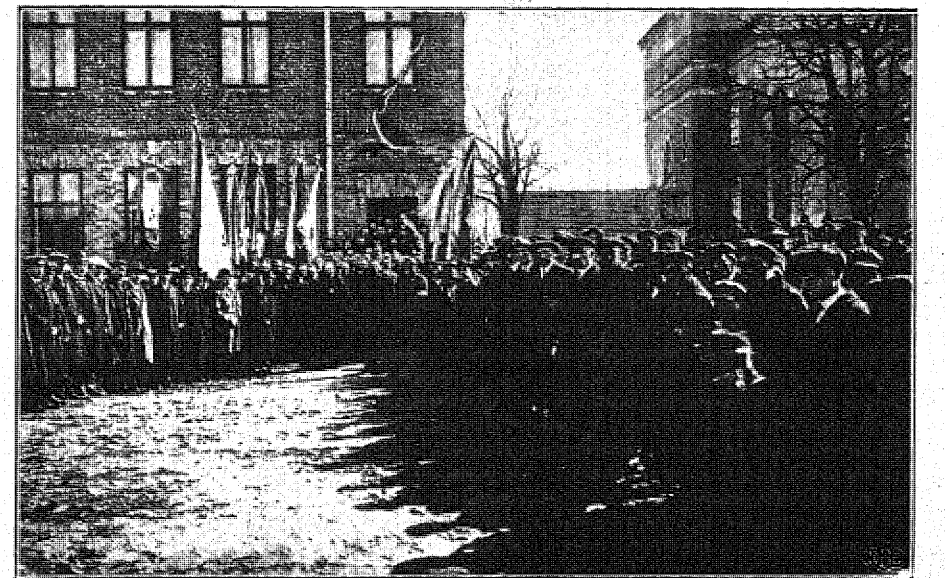
„Już myślałem o moim pogrzebie. Postanowiłem, że grób mój będzie murowany z kamieni, które mi rzucano przez całe życie moje pod nogi. Gdybym jednak chciał te kamienie przetransportować, według życzenia Szanownych Panów — do Ameryki, koszty transportu pochłonęłyby wszystkie moje dotychczasowe zarobki”.

Delta.

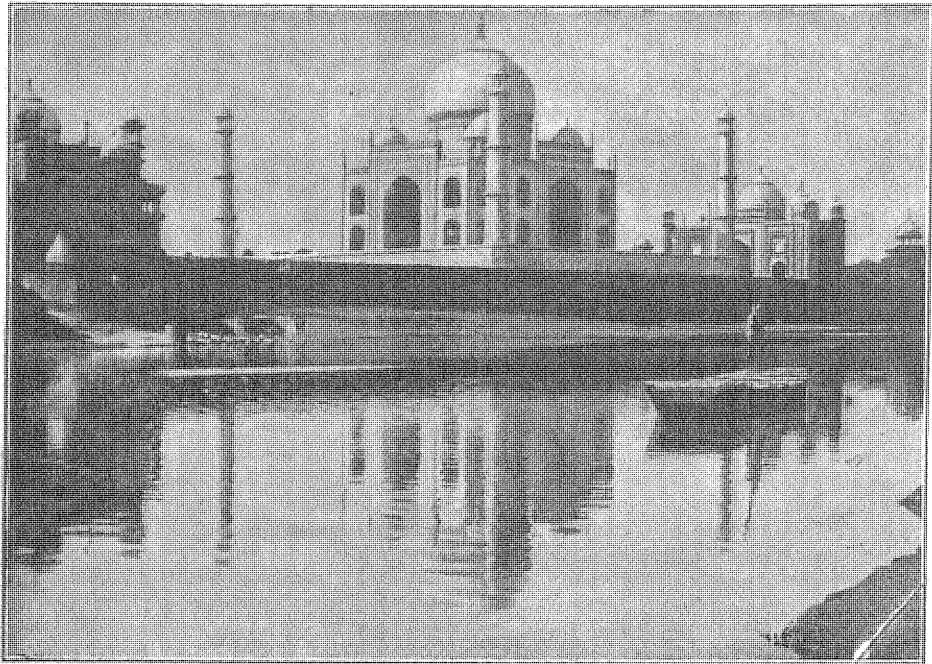


S. P. MARJAN CYNARSKI,
prezydent m. Łodzi,

padł pod ciosem zbrodniczym w dniu 14 kwietnia 1927 roku.



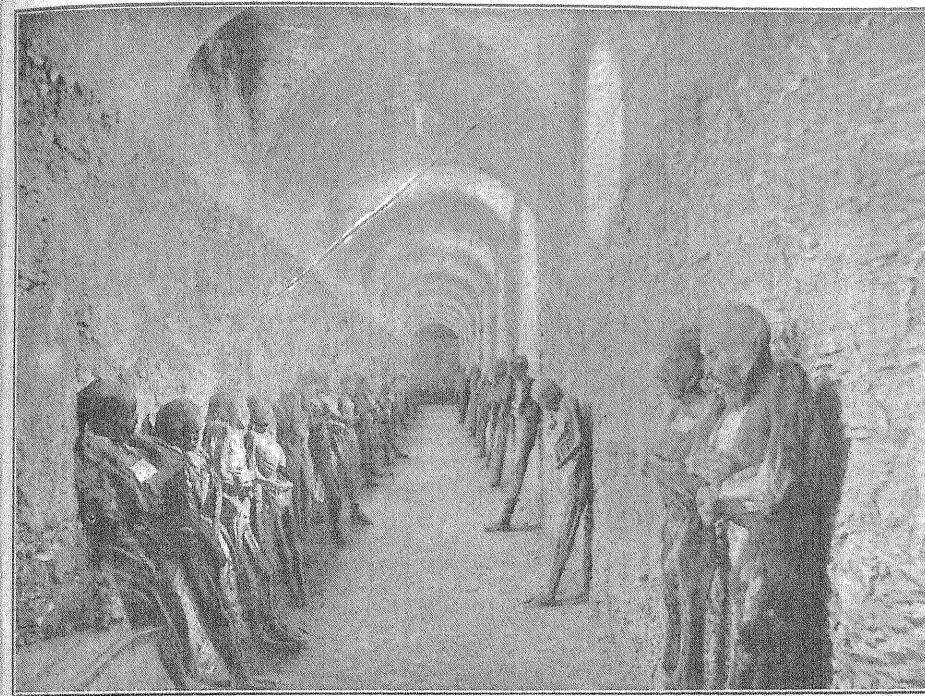
Dnia 27 ub. mies. odbyło się uroczyste otwarcie Stowarzyszenia Robotników Chrześcijańskich w Konstantynowie.



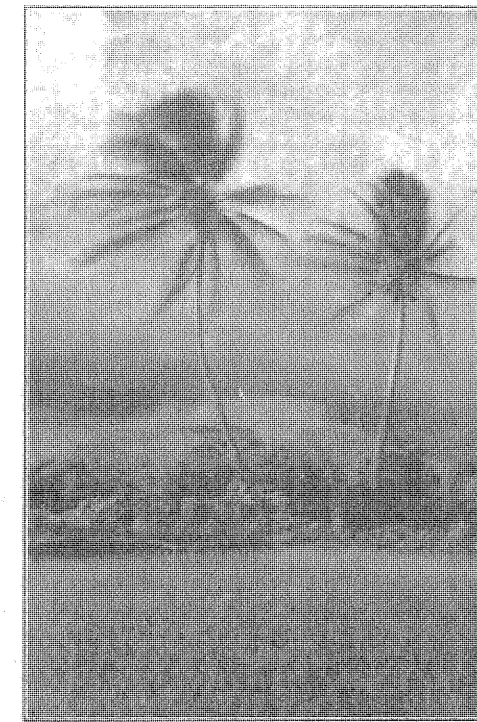
Indje, kraina wiedzy tajemnej, poza mnóstwem starożytnych grobowców, kryjących w sobie odwieczną przeszłość ziemi jogów, szczytą się bogactwem pięknych gmachów z jakich między innymi słynie podany na rycinie Tadż-Machal.



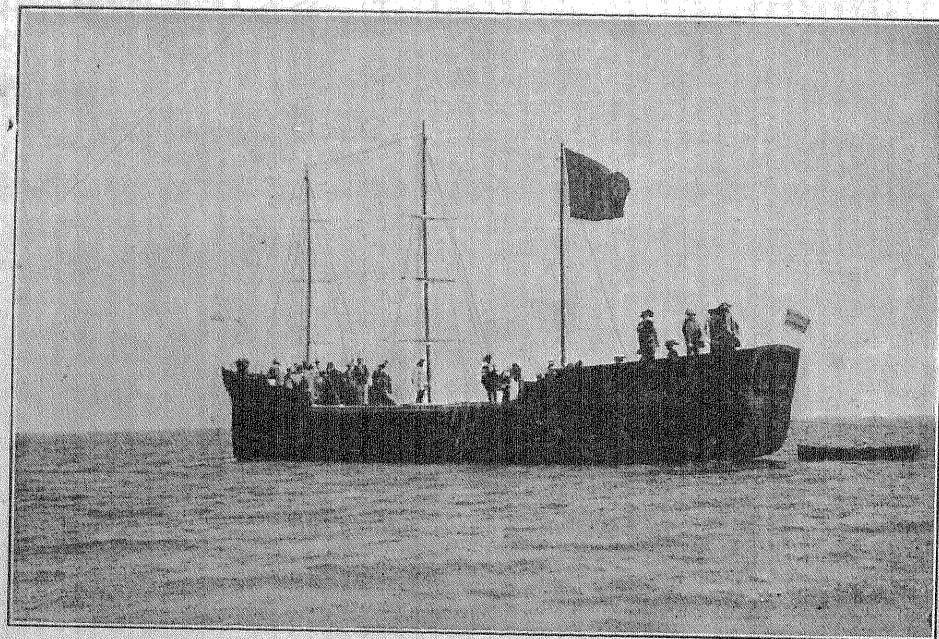
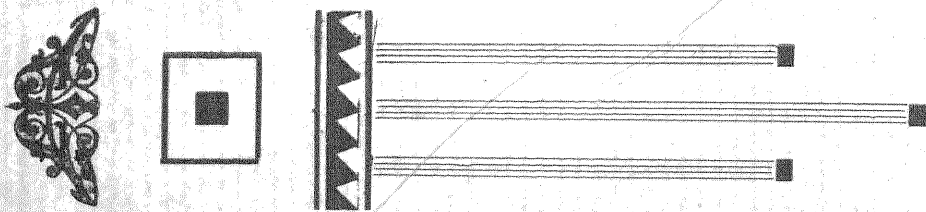
Mieszkańcy wyspy Honolulu. Piękność kobieca tego kraju.



Prześladowania katolików w Meksyku zmusiły wiernych do odprawiania praktyk religijnych w podziemiach starożytnych katakumb, które widzimy na zdjęciu.



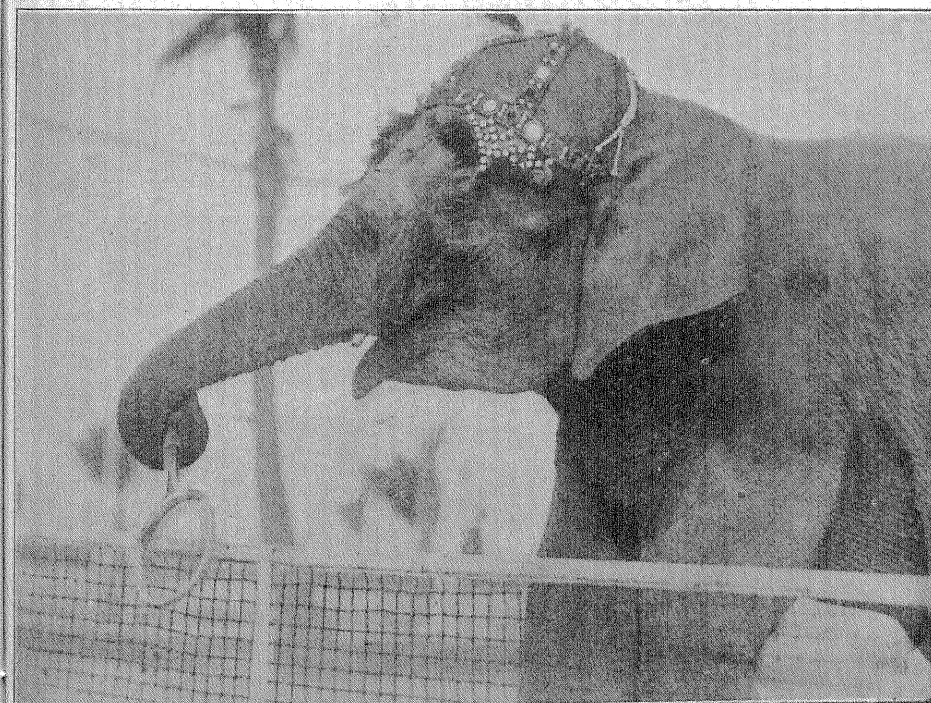
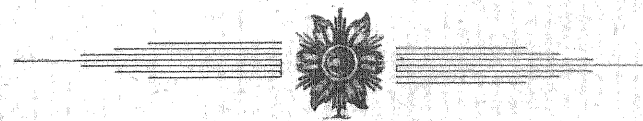
Zwiastun burzy tropikalnej na wyspie Oahu, wichura, będąca nieprzyjacielem najstarszych nawet palm.



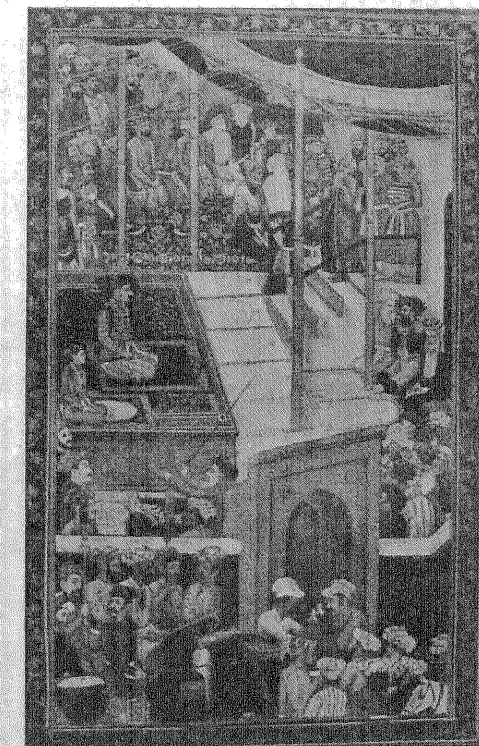
500-letnią rocznicę odkrycia Florydy, mieszkańcy jej postanowili uczcić upamiętnieniem zdarzeń historycznych, związanych z tym krajem. Zdjęcie nasze przedstawia odtworzenie statku pierwszych zdobywców.



Szarlatan, sprzedający na ulicach miast chińskich amulety i cudowne leki, preparowane z ciała tygrysa.



Okaz ogrodu zoologicznego w Londynie, olbrzymich rozmiarów słoń, dzięki tresurze zdobył umiejętność władania rakietą tenisową, ku niepomiernemu zachwytowi miłośników tego sportu.



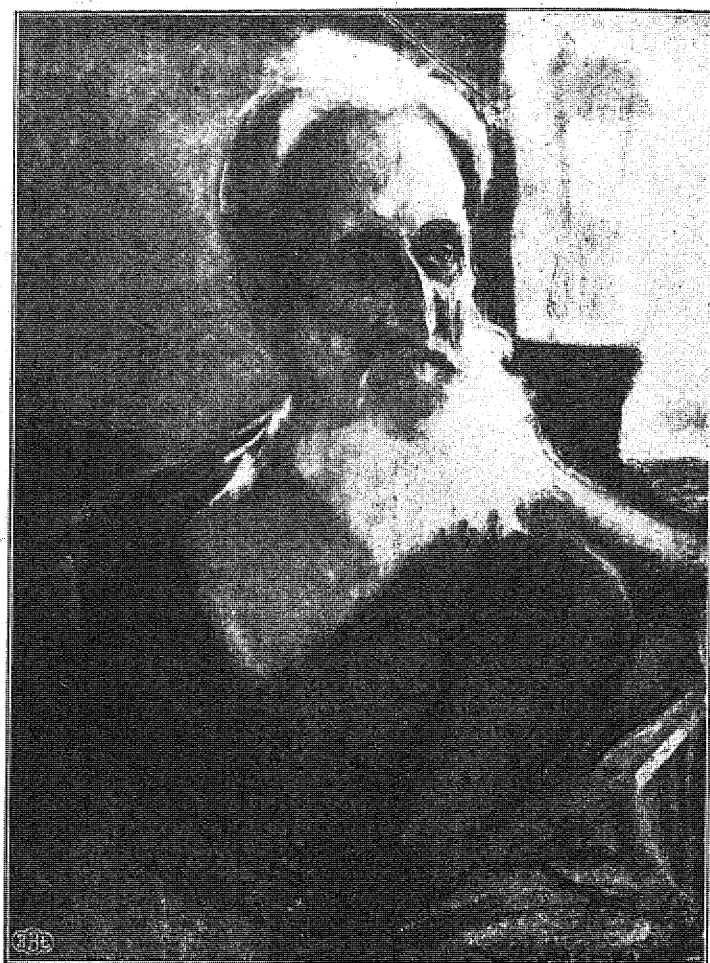
Sztuka indyjska. Malowidło, wyobrażające cesarza Džehaugira, odprawiającego modły.



Z Miejskiej Galerji Sztuki.



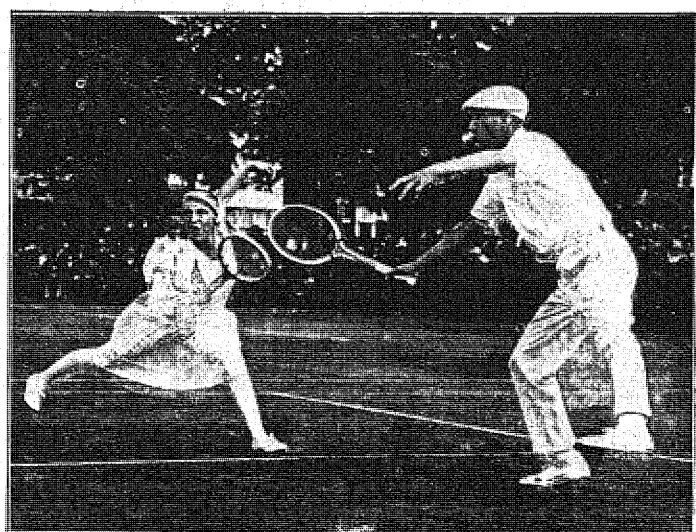
Z cyklu „Burza“. — K. Stabrowski.



Portret ojca artysty. — K. Stabrowski.

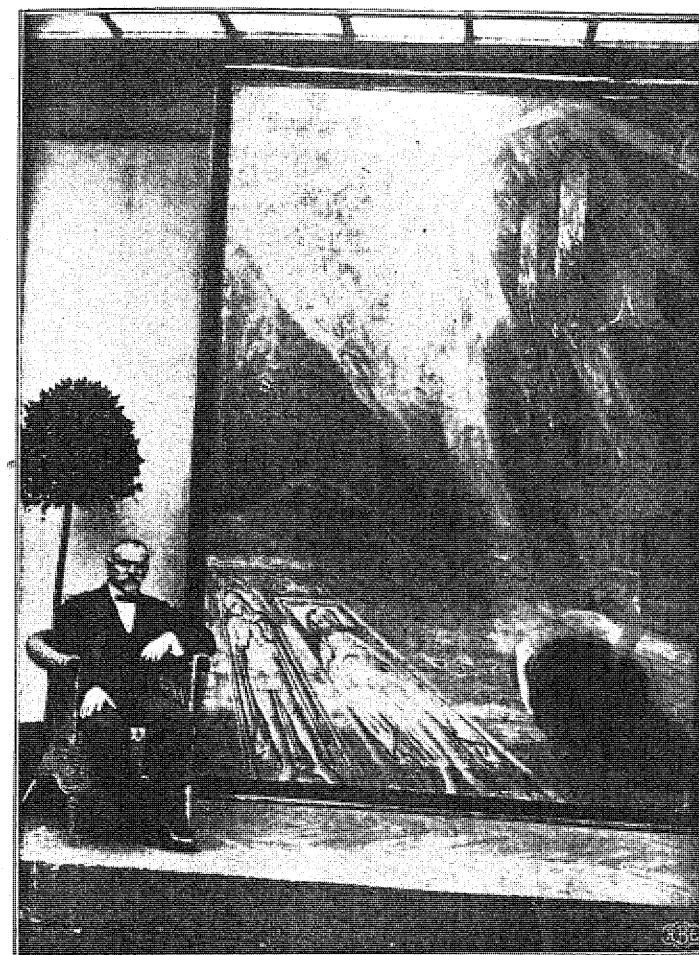


„Backhaend“.



Wielce interesujący moment z gry mieszanej w tenisa.

Z Miejskiej Galerji Sztuki.



Art.-mal. K. Stabrowski na tle jednej ze swych prac.



Na tle witrażu. — K. Stabrowski.

CLAUDE FARRÉRE.

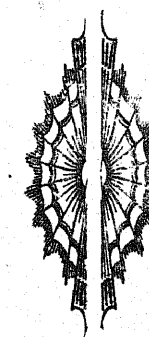
Miłość i życie.

Lady Gray, żona posła angielskiego wydała w parku Thérapii nad Bosforem wielki bal, który zgromadził całe ciało dyplomatyczne, eleganckich przyjezdnych i oficerów wszystkich stacjonujących regimentów. Część towarzystwa odegrała bardzo źle „Sen nocy letniej“, ale naturalne dekoracje i srebrne światło księżycy tyle dały uroku, że i amatorzy, i widzowie byli zachwyceni.

Na owem przyjęciu przy stole obok żony bogatego pana de Romans siedział porucznik marynarki, Piotr Villiers. Pani Romans miała cudowne złote kędziory i głębokie oczy kreofki, a porucznik robił wrażenie trzydziestoletniego, przystojnego mężczyzny, odzianego w dobrze leżący mundur. To wszystko.

Kiedy po skończonej uczcie sąsiedzi od stołu udali się na przechadzkę po parku — przysiągłbym, że ten spacer nie wywrze żadnego wpływu na przyszłość obojga. I byłbym przegrał...

Zamienili ze sobą dwa banalne zdania i zamilkli, bo czar tajemniczego parku przeniknął ich do głębi. Weszli na wysoki ta-



ras, i pani Romans, pokazując w oddali na lśniącem Bosforze maleńkie światelko, spytała:

— Wszak to tam uniesie pana na jego okręt lotna barka?

— Tak, uniesie mnie — i to smutną, bo będę się czuł dziwnie samotny po tej nocy, kiedy widziałem tyle obnażonych ramion, do których słodko byłoby się schylić, i odgadłem tyle serc, które pięknie byłoby poruszyć...

Pani Romans była zaskoczona. Pierwszy to raz mówił ktoś przy niej o pieszczo-

cie i uczuciu, nie stosując swych słów wprost pod jej adresem — i wydało się jej, że ten mężczyzna, który nie zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia, istotnie lęka się samotności. Dlatego cichutko odpowiedziała:

— Inni mają więcej powodów do smutku — ci, którzy wprawdzie nie wracają do domu samotnie, ale otoczeni są zimnymi i obojętnymi — a to jest gorsze od samotności. Pamu choć nikt nie przeszkodzi, gdyby pan miał ochotę... powiedzmy... do płaczu.



Nie przyjacieli zadzierzgnęła się między młodym porucznikiem i panią de Romans, przyjacieli czyste, jak czystą była młodzianka kobieta, za prawa i za bardzo brutalnością swego małżonka do miłości zrażona, aby w swem nieszczęśliwym pożyciu przyjąć pocieszyciela, których całe zastępy zwabiła jej uroda. Jako piękna, z arystokratycznej, ale zubożałej rodziny, dziewiętnastoletnia panna posłużyła pięćdziesięcioletniego bogacza i wiodła wprawdzie życie beztróskie, stroiła się w jedwabie i kosztowności, korzystała z aut, powozów i wili — ale wszystko należało do męża, zabezpieczone zupełnie kontraktem ślubnym, a ona była istotnie bardziej samotna, niż porucznik Villiers na swoim statku.

Niespodziewania dla obojga inna nuta zadźwięczała w ich wzajemnym stosunku. Pewnego razu powracali z koncertu — i pan de Romans zaproponował porucznikowi miejsce w powozie. Piotr wskazał na barkę swoją i powiedział, że nią dotrze do okrętu.

— Jakże pięknie musi być przecinać nocą lśniący Bosfor! — wykrzyknęła pani de Romans. — Napewno szybciej byłibyśmy na drugiej stronie, niż objeżdżając powozem aż do mostu.

— W barce są dwa miejsca. Gdybym mógł pani zaproponować...

Pan de Romans pomyślał, że jadąc sam w powozie, będzie mógł wypalić cygaro, i zachęcił żonę.

Banki na Bosforze są wąskie i łatwo wywrotne. Z tyłu jest zwykle rodzaj łoża, krytego perskim dywanem, na którym półleżąc, mieszczą się dwie osoby, a silne poruszenie mogłoby zachwiać barką. Na takim wezłowie znalazła się pani de Romans koło Piotra — i z po za małego rodzaju domeczku na środku barki przeglądała się sylwetkom wiosłarzy. Przytem przechyliła się i zachwiała barką — na ostrzegawczy okrzyk wiosłarza Piotr też się przechylił, by przywrócić równowagę — i głowa jego znalazła się przy głowce pani de Romans.

Dziwna moc szła z mroku nad rzeką, dziwny czar ze srebrnego księżyca — i w gorącym pocałunku spotkały się spragnione usta młodych.

— Nie wolno panu już nigdy mnie widzieć! — szepnęła pani de Romans, zegnając się z Piotrem — ale było zupełnie zrozumiałe, że zjawił się u niej nazajutrz — i że ona go przyjęła.

Po kilkunastu dniach byli kochankami. Żadne z nich nie wiedziało, jak przyszło do tego.

Spotykali się codziennie na małej wysepce i przeżywali cudne chwile szczęścia.

Piotr całował jej białe ręce i modlił się do nich słowami litanji Chrysis:

— „Twoje dłonie są dwoma kielichami lilji, a palce twoje oddzielają się jak pięć płatków kwiatu...”

Ale pewnego razu rozbawione towarzystwo, piknikujące na wysepce, spłoszyło ich idyllę i rozniosło złośliwymi językami szczęście obojga. Piotr wyzwał plotkarzy i miał cztery pojedynki — a piąty odbył z panem de Romans. Wyniósł z tego jedną małą ranę i... dymisję z marynarki wojennej, bo jednym z pojedykowców był komendant statku.

Piotr Villiers i pani de Romans wyjechali do Francji. Pani de Romans miała tylko podróżny kostium, a Piotr Villiers trzydzieści kilka tysięcy franków, które mu przynosiły paręset renty miesięcznie. Mieli jednak wiarę w przyszłość i nie lękali się nędzy.

Piotr otrzymał posadę jako technik w fabryce motorów. Zarabiał niewiele, ale zajęty był cały dzień. Pensja jego wraz z minimalną rentą nie pozwalała im nawet na utrzymanie służącej. Przychodnia posługaczka robiła grubszą robotę, a pani de Romans sama gotowała i sprzątała trzy małe pokoiki i kuchenkę. Oboje byli zmęczeni i ledwo doczekać się mogli godziny wieczornego wypoczynku, ale kochali się płomiennie i byli bardzo szczęśliwi i głęboko o istnieniu swego szczęścia przeświadczeni.

Gdy Piotr powracał wieczorem z fabryki, zastawał swą towarzyszkę życia przy szyciu sukienek lub reperowaniu bielizny — oczywiście, musiała to wszystko sama robić. Wstawała z uśmiechem od pracy, całowała serdecznie Piotra, i na fajansowych talerzykach w kwiaty podawała positek.

Minał im tak rok i zaczął się drugi.

Pewnego dnia Piotr wskutek uszkodzenia maszyn w elektrowni wcześniej wrócił do domu. Cicho przeszedł przez wszystkie pokoje i dotarł aż do kuchni w poszukiwaniu swej ukochanej. Uchylił drzwi — na kamiennej podłodze klezczała pani de Romans i z całej siły szorowała szarem mydłem zabrudzone kamienie. Ciepła woda rozlewała się, parując, po podłodze.

Piotr nachylił się nad nią, podniósł spozoną i zmęczoną i przytulił do ust jej biedne, czerwone, posiekane ręce. Zadźwięczały mu w myśli pieściwe słowa litanji Chrysis:

— „Twoje dłonie są jako dwa kielichy lilji, a palce odchylają się, jak pięć płatków kwiatu...”

I objął Piotr rozumem w nagłym objawieniu wypaczoną miłość i zmartwione życie. Zdał sobie sprawę, że dawniej pochylał się, rozkocharni, nad Bosforem i pieścili słowami, że mówili do siebie, jak paźk i królewna z bajki, że piękno było we wszystkim, co ich otaczało, a poezja w nich samych...

I przypomniał sobie, że teraz mówią o ewentualnej podwyżce, która pozwoli im wyjechać na dwa tygodnie na wieś, o cenie mięsa i braku czasu na przeczytanie książki. Że codzienność starła pył kwiatny z ich miłości, a ciężka praca i własnoręczne

sukienki zniszczyły wyśnioną urodę złotowłosej kochanki...

Wszystko to Piotr wyrzucił z siebie w potoku gorących słów. I ze spuszczoną główką słuchała pani de Romans. Coś mu długo, długo potem szeptała, a on klęknął przed nią i z uznaniem ucałował jej kolana.

Nazajutrz Piotr podziękował w fabryce za posadę. Sprzedali meble, oddali mieszkanie. Pojechali do Paryża.

Piotr podniósł z banku trzydzieści osiem tysięcy franków. Zamieszkali w hotelu, i w ciągu dwóch tygodni chodzili po magazynach, gdzie pani de Romans kupowała sobie piękne sukienki, kapelusze z kwiatów i piór, złocone pantofelki i pajęczą bieliznę, poddała swe rączki zabiegom masażystów i higienistów, aż odzyskały swą utraconą białość alabastru. A potem — umiósł ich express na Wschód, nad lśniący Bosfor — gdzie zaczął się dla nich sen o szczęściu. Z rzeczywistości powracali do snu...

Zajęli najwspanialsze, apartamenta w letnim Palace - Hotelu. Kupili powóz i parę najprzedniejszych rumaków, barkę rzeźbioną w kształcie ptaka, a stolik, przy którym jadali w wielkiej sali, przybierany był codzień świeżymi kwiatami.

Ci, wśród których trwała jeszcze pamięć skandalu, widywali codzień, co godzina, zawsze i wszędzie tę dorodną parę, przytuloną do siebie, promieniejącą szczęściem, patrzącą wokół z triumfem miłości i upojenia, z pogodą i weselem nie z tego świata.

Na korsie jechali swym wspaniałym pojazdem, z nad Bosforu słyhać było tony skrzypków, towarzyszących im barce, na koncertach siedzieli w łoży, z dłońią w dłoni — a ciekawi intruzi widzieli ich na małej wysepce, jak tulili się do siebie i patrzyli na odbicie w wodzie ich odurzonych szczęściem twarzy.

Jak złoty sen, jak wonna bań tysiąca i jednej nocy, minęły miesiące lata. Złoty portfelik, maszywany perełkami, nie zawierał już ani jednego franka.

Wtedy spojrzeli sobie kochankowie w oczy, uśmiechnęli do myśli o Nirwanie — i wsiadli wieczorem do rzeźbionej cudnie barki. Wyjechali sami, bez wiosłarzy i skrzypków, na ciemną toń Bosforu...

Przesunęli im się przed oczyma wizje pięknych dni, które minęły wśród słóca, muzyki i kwiatów, w przepychu złotych ramek. Wzbudzili ogólny zachwyt, zdrowość, zawiść, przemknęli przed tłumem śmiertelnych, jak bohaterzy bajki.

W upojonym, namiętnym uścisku poddała się pani de Romans pieszczotom Piotra. Okrzyk rozkoszy przeciął ciszę nad Bosforem — zachybotała barka i pochyliła się na bok, sunąc w nieskończoność.

(Wolny przekład Ir.)



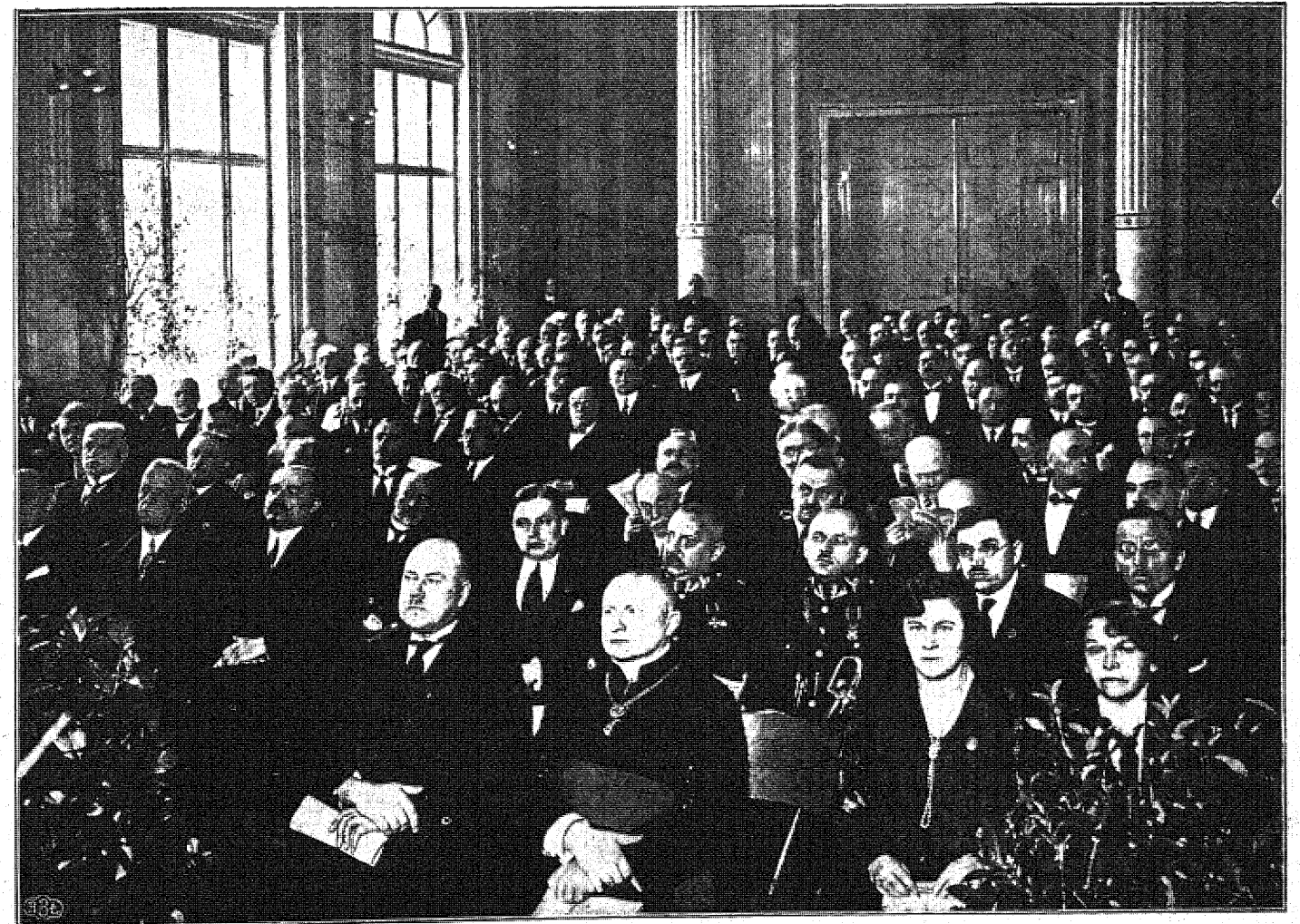
DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO.

Rok IV.

Łódź, 1 maja 1927 roku.

Nr. 18.

Szósty Zjazd Lekarzy i Działaczy Sanitarnych Miejskich w Łodzi.



W dniu 24 i 25 b. m. obradował w Łodzi szósty zjazd lekarzy i działaczy sanitarnych miejskich. W zjeździe wzięli udział przedstawiciele świata lekarskiego wszystkich większych miast polskich. Zadaniem zjazdu było rozstrzygnięcie doniosłego problemu higieny pracy w przemyśle.

Zdjęcie nasze przedstawia uczestników zjazdu z przedstawicielami władz rządowych, samorządowych, duchowieństwa i policji w sali Rady Miejskiej przy ul. Pomorskiej 18.

Fot. A. Meyer.